



## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

**PRENUMERATA WYNOŚI:**

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



W Ameryce zwrotnikowej.

### W AMERYCE ZWROTNIKOWEJ.

Osadnicy w Ameryce zwrotnikowej zazwyczaj wśród lasów zakładają mieszkania. Rąbią i karczują drzewa, a grunt

w takich miejscowościach jest nadzwyczaj urodzajny. Około domów starają się mieć jaknajwięcej cienia, aby się od upału uchronić. Rysunek nasz przedstawia piękną aleję, wyciętą wśród lasu i prowadzącą do mieszkania bogatego osadnika.



# Co wietrzyk opowiadał gruszy w noc majową.

POGADANKA OGRODNICZA.

PRZEZ **Zofię Grabkowską.**

(Dalszy ciąg).

Już to z tobą, moja gruszo, rosnącą dziko w całej Europie, nawet w Szwecji spotkać się można, a słyszałem raz, jak jeden uczony pomolog, p. Decaisne, mówił, że w górach Jurajskich przebywasz na wyżynach, wzniesionych na 1200 metrów ponad poziom morza. W Polsce nie tworzysz nigdy gajów, łatwiej cię spotkać na brzegu, niż w głębi lasów, towarzyszącą zwykle dębom i bukom; częściej jeszcze w bliskości ludzkich osad, siedzącą jak strażnica nad zieloną miedzą. Botanicy, którzy podzielili wszystkie ziola i drzewa na rodziny i klasy, zaliczyli cię, tak samo jak i jabłoń, do plemienia piątego jabłkowego, *pomaceae*, rodziny różowatych, *rosaceae*, a ponieważ pręcików masz zwykle 20, osadzonych na kielichu, należysz więc do 12 klasy *Icosandria* Lineusza. Kielich kwiatu, jak łatwo to sprawdzić na twój śnieżnej działwie, jest o pięciu działkach, a gdyby kto miał serce zerwać i obejrzeć dokładnie które z nich, zobaczyłby, że część dolna kwiatu ma postać małego kubeczka, w którym mieści się pięć zawiązków zrosłych z nim zupełnie. Owoc więc, tak gruszy jak i jabłoni, powstaje z owoców spojonych między sobą i z mięsistego osadnika. Dla tego to i owoc ma w górze tak wyraźną bliznę; to ślady kielicha, który był tam przytwierdzony, a którego nie napotkasz u wisien i śliwek. Pręciki gruszy różnią się tém od jabłoni, że mają czarne zamiast żółtych pylniki, a liście znów tych ostatnich są więcej szklące i omszone pod spodem. Odmian grusz istnieje dziś około 2000 i ta liczba ciągle wzrasta; pomyśl tylko, ile to ludzie pracy i starań musieli dołożyć, nim uszlachetnili twoje kwaśne owoce i otrzymali takie bogactwo gatunków!

Co prawda, zajmowali się oni uprawą drzew od niepamiętnych czasów, bo o gruszy znajdujemy już wzmiankę w najdawniejszym poemacie greckim, w Odysei Homera. Choć klimat Hellady był dla niej nieco za ciepły, mimo to za czasów Pliniusza znano już kilkanaście odmian, niewiadomo tylko jakich. Również nie wiem, co za cel mieli ludzie początkowo w hodowaniu drzew owocowych, czy robili to dla ozdoby, czy pożytku, w każdym razie przez ciągłą uprawę i zasiewy uszlachetniały się dziczki i wydawały delikatniejsze owoce, a potem, jak twierdzi autor grecki Teofrast, rozmnażano je za pomocą szczepienia.

Późniejsi panowie świata Rzymianie z zamiłowaniem oddawali się hodowli drzew owocowych, znali grusze, jabłko, śliwę, czereśnię i różne jej odmiany, naturalnie nie w takiej jak dziś ilości i rozpowszechniali uprawę tych drzew, przenosząc je w najodleglejsze strony swych posiadłości. Ponieważ, będąc wiatrem, nie jadam owoców, nie wiem więc nawet, czy zachowały się te odmiany wśród wstrząśnień i przewrotów rozmaitych, które świat, ze wszystkiem co na nim było, przechodził. Wiem tylko, że dobre to były czasy, kiedy w bardzo odległym od dziś epoce spotykałem nieraz w Lacyum nad brzegiem Tybru piękną boginią Pomonę, która wzięwszy was wszystkich w opiekę, sama z nożem w ręku krzątała się koło waszych pradziadów, szczepiąc, obcinając gałęzie, oczyszczając je z owadów i napastników, własnymi też rękoma nosiła wodę ze strumieni, aby gasić pragnienie swych wychowalców.

Ludzie, których wszyscy posądzają o niewdzięczność, na ten raz takimi nie byli; Rzymianie wystawili dobrej tej niebiance świątynię w starym grodzie Romulusa, przedstawiano ją tam z rogami obfitości, z koszem owoców w ręku, uwieńczoną winnemi gronami, a do dziś od jej imienia nauka o owocoznawstwie zwie się Pomologią, wszyscy zaś jej uczniowie i miłośnicy pomologami.

Fortuna kołem się toczy, mówi przysłowie, przysłowia przecież są mądrością narodów, a to sprawdziło się na was zupełnie. Smutne i dla was nastąpiły chwile, gdy olbrzymie

państwo Cezarów upadło pod ciosami barbarzyńców. Złowrogie ich stopy niszczyły wszystko, was także na długo usunęły w cień, póki Karol wielki nie zajął się znów wami po ojcowsku. Liczne swoje ziemie zasadzał drzewami, szczególnie wyróżniał wiśnie i jabłka, kazał sobie zdawać sprawę z ich urodzaju i zachęcał zakonników do tego zajęcia.

Tym razem był chyba przeczcuciem wiedziony, bo gdy po jego śmierci wielka monarchya rozpadła się na części, kto wie, co by się stało było z drzewami owocowymi i z całym sadownictwem, możeby wszystko zaginęło, żeby nie ci pobożni ojcowie. Odcieci od świata, żyjąc w samotnych celach klasztornych, czas swój cały poświęcali na szerzenie oświaty, pielegnowanie chorych i uprawę drzew; wytwarzali nowe odmiany i zachęcali ogół, aby ich naśladował. Są owoce, które dotąd zatrzymały nazwę niektórych klasztorów i do dziś dnia świat korzysta z tej pracy i zabiegliwości zakonników.

Musicie być jednak bardzo pożyteczni, kiedy mimo tylu niewesołych przejść, w których zdawało się, że ród wasz zupełnie zaginie, potrafiłiscie zawsze wypłynąć na wierzch, znajdując nieraz gorących miłośników i opiekunów w potęgach tego świata.

Słyszałaś może coś, moja gruszo, o Ludwiku XIVstym? Nie! To mnie bardzo dziwi. Wiedz zatem, że to był jeden z najpotężniejszych monarchów swego czasu, wielki opiekun nauk, sztuk, dzielny wojownik, za jego panowania Francya stała u szczytu potęgi. A jednak Ludwik XIV godziny całe spędzał w swych ogrodach i własnymi rękoma obcinał drzewa. Mnie to wtedy dziwiło trochę, ale gdy w tym samym czasie ujrzałem nad brzegami Wisły pogromcę Turków, bohatera z pod Wiednia, sadzącego lipy i topole nadwiślańskie, pomyślałem sobie: jaka to szkoda, że w szlacheckich dworach tego widoku częściej nie spotykam!

Nieraz widziałem ziewających paniczów i panienki, wyrazy „ach! ja się tak nudzę” podsłuchiłem mimowoli i wtedy myśl moja cofała się wstecz, do starożytnych bogów, do władców wielkich państw i wdychałem, myśląc nad tém, czemu też tych znudzonych nie bierze chęćka ich naśladować!

Ale odbiegłem od rzeczy, wróćmy do Ludwika XIVstego. Jeżeli czyje, to jego imię każde drzewo owocowe powinno wspominać z gorącą wdzięcznością, bo on swym przykładem dał początek umiejętnej pomologii, która znów dla Francyi i jej ościennych krajów stała się źródłem bogactwa, dając przytém tak miłe zajęcia.

W Polsce znów z małym wyjątkiem, wyznać muszę, gałąź tego przemysłu ciągle była zaniedbaną. Sprowadzano owoce z zagranicy, brakło też dobrych swojskich ogrodników bardzo długo. Był co prawda przy każdym dworku sad, ale po większej części z drzewami tak po macoszemu postępowano, tak je zaniedbywano, że doprawdy wielka to zasługa tych chorych karłów, nawpół uschłych, pogarbionych, zniszczonych, że chciały dawać jaki taki owoc.

Szczęściem, w ostatnich czasach powstał inny zwrot w kraju naszym. Niejedna pani na wsi zaczęła się gorliwie, w racjonalny i umiejętny sposób oddawać temu miłemu i pożytecznemu zajęciu i coraz więcej wzorowych ogrodów naliczyć można na prowincyi i w Warszawie. Niedawno założone Towarzystwo Ogrodnicze ma na celu zapoznanie ogółu z owocoznawstwem i szerzenie zamiłowania tej umiejętności wszędzie, od dworów aż do chat najuboższych, zapewne ten pożądaný skutek osiągnie.

Przy wzorowo utrzymanym w Warszawie ogrodzie pomologicznym powstała szkoła ogrodnicza, kształcąca fachowych ogrodników, którzy z czasem samouczków zastąpią. Specjalne pismo, wychodzące w temże mieście „Ogrodnik Polski” zapoznaje ciekawych i chętnych z nowemi zdobyczami na polu tej wiedzy, a świeżo założona w Rakowcu (pod Warszawą) kolonia nasion wszelkich warzyw, kwiatów i roślin pastewnych, powinna wyrugować zupełnie nasiona zagraniczne.

Nie przesadzę chyba gdy powiem, że może największe zasługi na tém polu położył p. Edmund Jankowski, redaktor „Ogrodnika Polskiego”, człowiek wysoko wykształcony, na



# PRAWDZIWE BOGACTWO.

POWIEŚĆ

przez autorkę **Reginki.**

(Dokończenie).

miętnie zamiłowany w swoim zawodzie, autor wielu cenionych dzieł popularnych o ogrodnictwie. Serce mi się raduje, gdy nieraz wpadłszy przez otwarte okno do pałaców lub sioł krytych dworków i przewracając niby dla pustoty, a właściwie z ciekawości leżące tam pisma i książki, spotykam na biurku pani lub pana takie dzieła p. Jankowskiego, jak „Sad i ogród owocowy”, „Kwiaty naszych ogrodów”, „Sad przy chacie”, „Ogrody północne” Strumiły „Róża” i „Warzywnictwo” Kaczyńskiego i t. p. i wyżej wspomniane pismo „Ogrodnik polski” w którym tylu ludzi zasłużonych krajowi pracuje.

I cóż ci jeszcze powiem, moja gruszo? Gdybym mógł, tobym cię był przeniósł z podolskich niw choć na chwilę do Warszawy, na uroczą piękną wystawę ogrodniczą, gdzie bogactwa kwiatów i drzew czarodziejskimi chyba rękoma były ułożone. Poprzednie wystawy, jako to: ogrodnicza lat kilka temu i wystawa róż, choć także piękne, z ostatnią zeszlorną równać się nie mogły. A wiesz dla czego? Ja, co wszystko podsłucham, podpatrzę, bo wszędzie wcisnąć się mogę, powiem ci pod sekretem, że tym razem, chcąc wynagrodzić ich trudy, przyszedł w pomoc ludziom dobre, piękne boginie Flora i Pomona. Dopomogły, by plon był bogaty i obfity, w układach, pomysłach, kierowały ręką swych wielbicieli, to też niejeden biedny śmiertelnik, wchodząc do zaczarowanego państwa, zapomniawszy trudów i kłopotów codziennych i myślą, duszą, przeniósł się w krainy, gdzie dobro i piękno panuje wiecznie.

Nie uciekaj, wietrzyku! zawołała nagle żałośnie matka nasza, stara grusza, nie uciekaj! Jeżeli byłeś tak dobrym już tyle nam opowiedzieć, bądź wspaniałomyślnym do końca. Chciałabym bardzo się czego dowiedzieć o hodowaniu drzew, o tém szczepieniu, o którym wspominałeś i wielu jeszcze innych rzeczach. Widzę teraz jasno, dlaczego pogardzają memi owocami, chciałabym więc przy twojej pomocy, dobry wietrzyku, zamienić się w takie drzewo, co smaczny owoc wydaje i rośnie dla pożytku świata i ludzi.

(d. c. n.)

## HYMN DO Ś-go KAZIMIERZA.

przez Władysława Syrokomłę.

Dostojny patronie Litwy,  
Pokrewny z ciałą i duchą,  
Przygarnij nasze modlitwy,  
Niech je Pan Niebios wysłucha.  
Módl się za nami do Boga,  
Niech grunt nie chybia swych plonów,  
Niech głód, pomorek, pożoga,  
Nie dotknie ziem Palemonów.  
Twa modła ludu niech strzeże,  
I ziemię dobrą ci znaną,  
Błogosław miast naszych wieże  
I wiosek strzeżę słomianą.  
Coś sławił rzewnemi hymny  
Świętą Dziewicę Maryą,  
Rozgrzej nam wiarą duch zimny,  
Niech serca pobożniej biją.  
Niech wiary będzie zapłatą  
Przeżegnanie pańskiej dłoni,  
Niech nas opieki swój szatą  
Bogarodzica osłoni.

(Na rysunku naszym widzicie obraz, umieszczony w kaplicy Ś-go Kazimierza w katedrze wileńskiej. Obraz ten przedstawia cudowne wskreszenie młodej dziewczeczki na grobie świętego Kazimierza).

Zrobił się ruch w sali, teraz dopiero zaczęto głośno rozmawiać, otrząsano się z pierwszego wrażenia, rozjaśniały się twarze prawdziwą radością i weselem, nieokreślone uczucie szczęścia i zadowolenia przepełniało wszystkie serca.

Odbyło się nareszcie uroczyste poświęcenie domu i wszystkich zabudowań, poczem p. Krystyna zajęła się przyjęciem swych gości.

Jak wesoło bawiono się w młodem gronie, to i opowiadać tego nie trzeba. Profesor literatury wpraszał się na posadę do naukowego zakładu Tereni, i p. Grubski rad byłby się tam dostać, p. Czarkowski, chociaż nie tak już młody, należał także jednak do tej wesołej gromadki, i chciał koniecznie zostać choćby tylko subjektem w sklepie Hanki i Toli.

Ze wszystkich najweselszą była Lenka, śmiała się ciągle, rozmawiała, dokazywała z dziećmi, urządziła z Kaziem gońtwę do mety, w czem im dzielnie pomagał Figielek z Krukiem.

Henia, wbrew swemu uprzedzeniu, zaprzyjaźniła się serdecznie z Terenią, i teraz chodziły z sobą najwięcej, mając sobie mnóstwo ciekawych rzeczy do powiedzenia.

Gdy wstawano od kolacyi, p. Kazimierz zbliżył się do Hanki i Toli, niosąc w rękę małe pudełeczko, które im wręczył z uśmiechem. Otworzyły zdziwione, i z okrzykiem radości ujrzały kosztowności swoje, które to wujaszek miał sprzedać na założenie sklepu. Ucieszyły się tym pamiąteczkom więc, aniżeli gdyby natomiast najdroższe otrzymały upominki.

Tak więc szczęśliwie zakończył się dzień poświęcenia nowego dworu, ten dzień, którego tak obawiała się Hanka, bawiono się wesoło i swobodnie, a gości nie puszczono jeszcze i dnia następnego; p. Kazimierz zapytywał nieraz Hanki, czy nie pozbyła się swęj niechęci do milionera, przemysłowca, a dziewczyna rękę wuja do ust swych serdecznie tuliła.

## Zakończenie.

I znów upłynęły dwa lata, Wrzesień zbliża się ku końcowi, w Żabinie, w nowym dworze, gwarno i wesoło, widocznie jakaś uroczystość familijna, bo wszyscy wyglądają bardzo świątecznie. Istotnie, wielka to uroczystość, bo dzień ślubu Hanki z p. Stanisławem Grubskim. Nie poznaliśmy się z nim bliżej w ciągu tego opowiadania, tu więc tylko w krótkości nadmienię wypada, że p. Stanisław, choć na skromnej posadzie wiejskiego nauczyciela, był jednakże człowiekiem bardzo wykształconym i zacnym. Trochę poeta, marzyciel, pragnął w życiu cichęj pracy, i cichęj zasługi, pragnął szerzyć światło i wiedzę tam, gdzie jęj najmniej niestety, i to go skłoniło do starania się o miejsce nauczyciela. Z początku przyjaciele i koledzy chcieli go odwieść od tego, ale widzieli, że darmo nad tém pracują, uśmiechał się dobrodusznie, a swoje przeprowadził, miał bowiem żelazną wolę i silny charakter.

Na rok przed wyjaśnieniem tajemnicy oświadczył się o Hankę, nie odmówiono mu wprawdzie, ale odłożono to na później, aż Hanka rozszerzy swój sklep i pracownię, i dobieje się trochę lepszego bytu, a i p. Stanisław miał sobie powoli urządzić domek dla przyszłej pani.

Gdy jednakże wydały się miliony wujaszka, p. Stanisław się cofnął, przestał prawie bywać, ale nie pozwolono na to, i uszczęśliwiony wrócił, ale termin ślubu odłożono na dwa



lata, czego znów żądała matka p. Stanisława, mieszkająca przy nim. Zaczyna staruszka obawiać się, aby Hanka nie żalowała z czasem, że poszła za popędem swego szlachetnego serca.

Przez te dwa lata duże zmiany zaszły w Żabinie, a mianowicie, wujaszek Kazimierz ożenił się z p. Jadwigą Wrzesniewską.

Mieszkają wszyscy w ogromnym nowym dworze, a Jadwinia i Ewcia uważają za największe szczęście, gdy im pozwolą pokolysać maleńkiego braciszka, który leżąc w kolebeczce, zawinięty w poduszkę, śmieje się już do nich, spoglądając ślicznymi szafirowymi oczkami.

Tola uszczęśliwiona jest ze swego siostrzeńca, i utrzymuje zupełnie poważnie, że maleńki Kazio, który już liczy aż trzy miesiące, jest bardzo mądry i wróży na przyszłość niepospolitego człowieka.

Profesor literatury bywa dość często w Żabinie, rozmawia bardzo wiele z Tolą, a wujaszek Kazimierz śmieje się, że pewnie znów będzie wesele.

Terenia pracuje ciągle, zakopana w księgach i papierach, myśli na seryo o założeniu szkoły dla dziewcząt, do czego przysposabia się, robiąc plany, i zasięgając zdania uczonych i pedagogów.

Jadwinia i Ewcia uczą się w domu, przy nauczycielce bardzo wykształconej, a kochana wujenka uczy dziewczątka muzyki, do której mają wiele chęci i zdolności.

Babunia, zawsze przez wszystkich otoczona szacunkiem i miłością, czuje się bardzo szczęśliwą, po tylu smutnych przejściach w życiu.

Pani Krystyna kocha bardzo młodą swą bratową, uczy ją gospodarstwa, zgadzają się wybornie i zadowolone ze wspólnego pożycia.

Ochronka i szpital od roku już istnieją w Żabinie, a na fabrykę wożą materiały, budują nowe domki dla robotników, stawiają piękny dom na mieszkanie dla lekarza i na aptekę, słowem panuje tam ruch wielki, a pan Kazimierz sam jest wszędzie, i wszystkiemu zarządza.

Janek i Kazio są w Warszawie, uczą się dobrze, a Figielek zawsze przeczuje ich przyjazd, wybiega aż za bramę, i pierwszy wita swego małego przyjaciela. Ale Figielek postarzał się znacznie, i już mu się figlować nie chce.

Sklep Hanki i Toli rozwija się ciągle bardzo pomyślnie, jest w nim sklepowa Justysia, którejby dziś nikt nie poznał, że to ta sama wiejska dziewczuszka, która parę lat temu zasłaniała sobie oczy fartuszkciem.

I pracownia dziewcząt istnieje, sprowadzono z Warszawy uzdolnioną, nie pierwszej już młodości wdowę, ta oddaje się nauce dziewcząt z zamiłowaniem, chociaż początkowo nudziło jej się trochę. Nad pracownią główny nadzór ma Tola.

Ślub Hanki odbył się w kółku rodziny i przyjaciół, nie trzeba więc mówić, że byli na nim państwo Z. z Lenką, przywiozły z sobą Henię i małą gadatliwą Bronisję. Dziewczynka bardzo się zmieniła, już nie głosi wielkich nieszczęść i okropnych wypadków, nie wyrosła jeszcze ze swęj dziecięcej gadatliwości, lecz chcąc coś opowiedzieć, zaczyna zawsze od słów: „jaka też zabawna rzecz się stała” choć znów ta rzecz wcale nieraz nie jest zabawną.

I na tém kończy się powiastka, a sędziwy ksiądz proboszcz, grając nieraz z babunią w maryasza, gdy go doleci wesoły gwar pracujących i zawsze czynnych mieszkańców nowego dworu, kładzie karty, zażywa tabaczkę i mówi:

— Tak, tak, pani dobrodziejko, miliony was nie zmieniły, o zbytkach wam się nie śni, pracujecie, choćbyście mogli próżnować, jesteście więc wszyscy weseli, swobodni, bo godnie spełniacie posłannictwo człowieka na ziemi. Oj tak, pani dobrodziejko, takie przeświadczenie i spokój sumienia, to na świecie prawdziwe bogactwo.

## ŚLAWNI W PIŚMIENICTWIE

przez Z. Morawską.

### III.

#### Opiekunowie uczącej się młodzieży.

Od pierwszego poznawania liter, patrzących na nas szyderczo z wielkiej tablicy lub elementarza i śmiejących się, że nie znamy ich godności, mozołimy się i mozołimy nad książką. Lecz cóż to za radość, gdy pokonamy trudności i zrozumimy przedmiot! Robi nam się nagle tak jasno w głowie, jakgdyby tam aż do samego mózgu jakaś dobroczynna gwiazda promienie swe rzuciła. A gdy nam kto pomoże, objaśni zawiłe zadanie, po pracy dostarczy jeszcze i rozrywki, ileż mamy dla niego wdzięczności! Cóż dopiero, jeżeli dopomóż tym, którzy nie mając zamożnych rodziców, ucząc się, muszą prztem zarabiać na życie, ubranie, opłatę szkoły i książek! Dla takiego opiekuna nie tylko ten ma wdzięczność, który odbiera od niego dobrodziejstwa, lecz i koledzy obdarowanego spoglądają na dobroczyńcę z uszanowaniem, pokazując go sobie z daleka. Już to trzeba przyznać, że młodzież ucząca się ma zawsze przyjaciół; opiekunów zaś, pamiętających o jej potrzebach, miała od pierwszej chwili, gdy się w kraju naszym uczyć zaczęto. Opiekunów uczącej się młodzieży i w ogóle nauk nazywają także Mecenasami; a to dlatego, że Mecenas Rzymianin, żyjący za cesarza Augusta w ostatnim wieku przed Chrystusem, dawał opiekę artystom i poetom, ci więc co poszli jego śladem, zyskali i jego imię.

Takim to *mecenasem* był w XI wieku Bolesław Chrobry, zakładający szkoły przy klasztorach, Kazimierz Wielki, otwierający uczelnię na Bawole w XIV wieku, a następnie Jadwiga, która szlachetnym swém sercem zrozumiała, że nie dosyć jest urządzić szkołę, lecz trzeba jeszcze pomyśleć i o zabezpieczeniu codziennych potrzeb uczącej się młodzieży. Swoim więc kosztem utrzymywała dwunastu Litwinów, kształcących się w ufundowanym przez nią kolegium przy uniwersytecie w Pradze czeskiej, a tych słusznie nazywano *wychowawcami królowej*. Władysław Jagiełło, chcąc uczcić jej pamięć, zaraz po przeniesieniu uczelni z Bawołu do Krakowa urządził *bursę* dla uczniów.

Bursy, a po łacinie *contubernia*, były to domy, w których młodzież przybywająca na naukę miała opiekę, mieszkanie, pożywienie, pomoc w naukach, częstokroć i ubranie, a przytém wszystkiemu rozrywkę pod okiem nauczycieli. Bogatsi składali niewielką opłatę, biedni przyjmowani byli darmo, wszyscy zaś zostawali pod ścisłym seniorsza bursy nadzorem. Idąc za przykładem króla, Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, a późniejszy kardynał, założył bursę, zwaną Jeruzalem, a utrzymując w niej młodzież ubogą, zaopatrzył ją jeszcze w bibliotekę, składającą się z rękopisów. Żeby zaś nikt księgi poza obręb bursy nie wyniósł, każda na łańcuchu do ławki była przytwierdzoną.

Że Jan Długosz był opiekunem nauk, wiemy to już dobrze \*), dodamy więc tylko, że w XV wieku obok Jagiełłowskiej i Oleśnickiej stanęła bursa Długosza, czyli prawników, równie dobrze jak pierwsze zaopatrzona. Za przykładem króla i dostojników państwa szli inni, bursy powstawały nie tylko w Krakowie, lecz i w innych miastach, gdzie były szkoły.

W XVI wieku, jakkolwiek akademia krakowska traciła swoją świetność, królowie jednak nie zaniechali nad uczącymi się opieki. Zygmunt Stary i Zygmunt August nagradzali każdego, kto tylko odznaczył się w naukach. Ostatni zaś słynął ztąd nawet za granicą, zkaż mu wielu uczonych przysyłało swoje dzieła, jako znakomitemu mecenasowi. Dwór zaś Piotra Tomickiego, biskupa krakowskiego, był w XVI wieku prawdziwą szkołą, z której wyszło bardzo wielu ludzi

\*) Patrz Nr. 42 z r. 1885 Któż o nim nie słyszał?



pożytecznych krajowi. Prócz tego wysyłał on swoim kosztem młodzież do zagranicznych uniwersytetów, a w akademii krakowskiej zaprowadził naukę języka greckiego i hebrajskiego. Ci zaś, co się wychowywali pod opieką takich mecenasów, zdobywszy naukę i stanowisko, opiekowali się później innymi, oddając im to, co sami z łaski przyjaciół młodzieży odebrali.

Nazwiska Kmitów, Tarnowskich, Łaskich, Radziwiłłów i innych, znane nam są, nie tylko z dzielności oręża i rady, lecz jeszcze jako znakomitych mecenasów. Wśród nich

Zresztą, któż tam nawet wyliczy wszystkich opiekunów nauk XVI stulecia! To tylko możemy powiedzieć, że dzięki tym mecenasom, kraj nasz słynął z nauki, a gdy we Francji ukazali się nasi posłowie, zapraszając na tron Henryka Walezyusza i poczęli z największą znajomością historii rozprawać o sprawach obcemi językami, jakby rodowitym, to im się wydziwić nie mogli panowie francuzcy, z których wielu nawet czytać i pisać nie umiało. Jeden zaś uczony Włoch powiedział, że nauki wypędzone ze starożytnej Grecji i Rzymu, znalazły w Polsce przytułek.



Obraz, znajdujący się w Kaplicy Ś-go Kazimierza w Wilnie.

górą Stefan Batory, który, zaprowadziwszy trybunały w Piotrkowie i Lublinie, założył akademię w Wilnie r. 1579. Pierwszy jej rektor, biskup Protaziewicz, ufundował zaraz bursę na wzór krakowskich, a Piotr Skarga, dzielnie się nią później opiekował. Obok wielkiego króla stoi imię jego kanclerza, Jana Zamoyskiego, który, roku 1593, założył akademię w Zamościu. Że jednak opatrzenie takiej akademii potrzebowało wielkich nakładów, którym nawet ogromny majątek kanclerza nie mógł podołać, akademia ta przetrwała ledwie pół wieku, nie wydając pożądaných owoców.

Lecz wiek XVII nie może się już tęp poszczycić; niema tylu mecenasów, zakłady naukowe prowadzą ze sobą kłótnie, a w XVIII wieku musimy szukać wzorów dla zreformowania szkół w tej samej Francji, która w XVI podziwiała naszą uczoność. Na czele mecenasów XVIII wieku stoi bezwątpnie Stanisław August, niedołężny król, lecz miłośnik nauki i sztuk pięknych. Prócz tego wielu znakomitych ludzi, widząc brak wyższej oświaty w kraju, wysyła młodzież swoim kosztem do uniwersytetów zagranicznych. Do takich mecenasów należy Józef Załuski, biskup kijowski, który zapisał



całą swą bibliotekę na własność narodowi. Mecenasami są: Czartoryscy, Potoccy, Andrzej Zamoyski kanclerz koronny, wreszcie cała komisya edukacyjna z Chreptowiczem i księdzem Grzegorzem Piramowiczem na czele. Komisya ta przeprowadziła reformę w nauczaniu r. 1773 właśnie w roku śmierci Stanisława Konarskiego, który tę reformę ułożył. Do mecenasów tegoż wieku należy Stanisław Staszyc i całe Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które samem swem mianem dowodzi, czém było dla młodzieży. W początku XIX wieku, Tadeusz Czacki rozciąga opiekę nad uczącą się młodzieżą, skupiając ją w założonem przez siebie liceum Krzemienieckiem. Z tego liceum wyszło wielu ludzi pożytecznych krajowi, a Jerzy Maksymilian Ossoliński założeniem we Lwowie biblioteki i oddaniem jej do użytku publicznego, zasłużył sobie również na imię mecenasa początku bieżącego stulecia.

## ZIEMIA OGNISTA.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW NA MORZU I LĄDZIE.

przez Mayne-Reid'a.

(Dalszy ciąg).

W czasie odpływu cała ludność krąży po wybrzeżu, szukając muszel, często jednak nadaremnie, gdy bowiem przez parę miesięcy raz po raz zabierają wszystko, co morze na brzeg wyrzuca, plonu w końcu zabraknąć musi i pozostają tylko drobniejsze i gorsze gatunki muszel. Muszą więc dalej wędrować, lecz i tam nie zawsze im się powodzi, jeśli ich wyprzedzili inni.

W cieplejszej porze roku, w miesiącach letnich, mieszkańcy Ziemi Ognistej nie są przynajmniej ciężkim głodem trapieni, polowanie i rybolowstwo dostarcza im dostatecznej ilości pokarmu, mają też w dodatku różne jagody i owoce leśne. Lecz zimą wszystko na raz ich opuszcza. Nie umieją solić lub wędzić ryby, nie uprawiają żadnego zboża, nie mają najmniejszej przeczności i dość, aby burza potrwała dni kilka, a klęska głodowa może spaść na nich tak niespodzianie, że od razu dochodzą do ostatecznej nędzy. A trzeba wiedzieć, że burze ustawicznie prawie nawiedzają okolice przylądka Horn przez pięć lub sześć miesięcy w roku.

Dnia pewnego Elikolepi od samego rana byli wszyscy w najgorszym humorze. Chociaż nigdy w obec więźniów nie odznaczali się słodyczą, dziś jednak groźniejsze jeszcze niż zwykle mieli miny i srożej na nich spoglądali. Nawałnica szalała przez dwa dni z rzędu, niepodobna było ryb łowić, muszel zabrakło już na wybrzeżu i na pobliskiej ławicy szuwarów, o milę dokoła nie można było znaleźć żadnych jagód, zwierzyna uciekła gdzieś daleko, nawet grzyby w lesie wybierano co do jednego i korę jadalną pozdzierano z drzew do szczytu. Głód zaczynał na dobre dawać się we znaki mieszkańcom obozowiska i widocznie się nad tém naradzano, jakby téj klęsce zapobiedz.

Dzicy krążyli po obozie, jak zgłodniałe wilki, wypatrując ofiary, na którąby się rzucić mogły. Nareszcie starszyzna zgromadziła się w miejscu odosobnionem na naradę, kobiety stanęły dokoła, przysłuchując się uważnie. Przedmiot rozpraw musiał być nadzwyczaj ważny i zajmujący, sądząc z natężonej uwagi słuchaczek, z gwałtownych ruchów i wykrzykników namiętnych, które się wyrwały z piersi mówców. Kapitan Ganey nie rozumiał ani słowa, a jednak odgadł od razu, o co im idzie. Wszystko to zapowiadało straszliwe niebezpieczeństwo, a na samą myśl o tém, co mogło spotkać najdroższe mu istoty, biedny kapitan truchlał i w duszy jego toczyła się straszna walka: jeśli nie mógł żony i córki uratować od śmierci, czyż nie miał prawa uchronić ich przynajmniej od najokropniejszych męczarni? Zebrał więc wszyst-

kie siły ducha i postanowił nie odstępować ich na krok aż do chwili ostatecznej...

Nagle usłyszał krzyki głośniejsze jeszcze, powtarzano wyrazy, których znaczenie było mu aż nadto dobrze znane:

— *Ika! akinisz!... Sziloke...* — i wskazywano nieszczęśliwego Poluksa. Stara jakaś jęcza najzawzięciej wrzeszczała i machała rękami, biegnąc za przerażonym murzynem.

Nie było wątpliwości, on to skazany był na śmierć dla zapokojenia głodu żarłocznej zgrai. Zrozumiał też nieborak, co się święci, stanął, przyparty do ogrodzenia, wiedział, że nie ucieknie, spoglądał więc tylko miłosiernie na swych prześladowców, próbował litość w nich obudzić. Nadaremnie, na tych twarzach nie widać śladu uczucia ludzkiego. Biedny murzyn zwraca z kolei wzrok na towarzyszy niedoli, jakby ich chciał pytać, czy nie uczynią, aby go uratować? Lecz o to może być spokojny. Kapitan Ganey nie opuści wiernego sługi, stanie w jego obronie, woli on zginąć od razu razem z ukochanymi istotami w walce nierównej, aniżeli patrzeć na ich cierpienia i powolne konanie. Bo walka ta nie może mieć innego końca, ludzić się niepodobna, sześciu ludzi bezbronnych i dwie słabe kobiety nie mogą się oprzeć przemagającej sile téj gromady zażartych potworów.

A wtém wódz ukazuje się nagle na podwórzu, zapewne hałasem zwabiony. Przemawia do tłumu, daje znaki, aby się uciszone. Czy to być może? czyżby dziki Elepari miał w sercu uczucia ludzkości i chciał jeńców ocalić? Kapitan Ganey nie śmie się tego spodziewać. A jednak oczywiście wódz nie pochwała postanowienia starszyzny, gdyż kilku mówców występuje z szeregów, coś mu przekłada z wielkiem ożywieniem, on im zaprzecza, nakazuje milczenie.

Lecz cóż to za zwrot nowy w naradach? Wódz wskazuje wigwam, w którym kapitan Ganey tuli do siebie struchlałe kobiety, tłumy z okrzykami radości zwracają się w tę stronę, sam Elepari idzie naprzód mężyczni uzbrajają się w włócznie i siekiery, kobiety chwytają kije i kamienie, dzikie, straszne namiętności malują się na tych twarzach bydłecych. Kapitan Ganey czuje, że śmierć jest bliska, myśli już tylko o tém, aby drogo sprzedać życie własne i życie ukochanych. Zaczyna człowiek otacza ramionami żonę i córkę, przyciska je do łona, gdyby miał w téj chwili nóż w ręku, możeby nie zdołał odeprzeć straszliwej pokusy uprzedzenia morderców... Kobiety nie tracą przytomności umysłu, uspokajają go, upewnają, że śmierć nie jest straszną dla nich, byle zginęły z nim razem...

A wtém nowe okrzyki dają się słyszeć, tłum zatrzymuje się, odwraca w inną stronę. Kobieta, stojąca na warcie przy moście, nadbiega, daje jakieś znaki, wymachuje rękami i woła w niebogłosy:

— *Kabrelna!... Kabrelna!... (Idą! idą!...)*

Któż idzie? Więźniowie odgadnąć nie mogą. Ważna to jednak musi być wiadomość, gdyż ogromne wywołała wrażenie, tłum zdaje się zapominać o krwiożerczych swoich zamiarach, rozbiega się szybko w różne strony. Kobiety ukrywają się w wigwamach, mężczyźni wchodzą tam także, lecz po chwili ukazują się znowu, mają na sobie cały rynsztunek wojenny, jakgdyby gotowi byli śpieszyć na spotkanie nieprzyjaciela.

Nieprzyjaciel ten zbliża się wreszcie o tyle, że go widzieć można, więźniowie nie mogą zrazu rozpoznać, co to za rodzaj wojska wkracza tak śmiało na ziemię Elikolepów. Oddział jest dość znaczny, a musi się uszykować długim rzędem, wojownicy postępują jeden za drugim po moście i nikt im nie stawia przeszkody. Teraz już można ich obejrzeć dokładnie, trudno jednakże zrozumieć, co to są za istoty. Głowy ogromne, do ludzkich podobne, osadzone dziwnie, bez szyi, każda głowa sterczy na cieleśku olbrzymiej grubości, które podtrzymują cienkie, krótkie nóżki.

Dopiero gdy osobliwszy ten oddział stanął już w pobliżu obozu, można było w dziwnych tych istotach rozpoznać ludzi, i to bardzo zbliżonych do Elikolepów, jednem słowem krajowców Ziemi Ognistej, lecz prawdopodobnie do innego plemienia należących. Każdy z nich niósł na sobie olbrzymi



połec słoniny wielorybię w taki sposób, że przez otwór przebity po samym środku przechodziła głowa, a boki spadały mu na plecy i na piersi, naksztalt ornata. Dziwny ten strój nadawał im prawdziwie fantastyczną postać.

Gdy wszyscy się zatrzymali, jeden wystąpił naprzód, wódz Elikolepów stanął naprzeciw niego, dalej uszykowali się wojownicy z bronią w ręku i rozpoczęła się rozmowa.

## XVIII.

### U k ł a d y.

— Słuchaj, Elepari! — mówił ów parlamentarz — przysłaliśmy tu w poselstwie od królowej Teneków, Okaszlu, przynosimy ci słowa pokoju i zgody. Królowa nasza dowiedziała się, że masz w obozie swoim jeńców białych. Wie ona także, iż pomiędzy nimi znajdują się rodzice i siostra człowieka, który niegdyś, w stronach oddalonych, na ziemi białych ludzi, stanął w obronie jej i twojej zarazem. Chciałaby za to uratować tych jeńców. Posłuchaj więc, co ci kazała powiedzieć, tobie i dzielnym wojownikom twoim. Ogromny wieloryb osiadł onegdaj na mieliźnie, na gruntach Teneków. Okaszlu wie dobrze, iż mężni Elikolepi nadewszystko lubią wybory tłuszcz wielorybi. Ofiaruje ci zatem to wszystko, co tu widzisz, tyle smacznego tłuszczu, ile go mogło udźwignąć na plecach trzydziestu ludzi, w zamian za jeńców białych...

Szmer zadowolenia ozwał się w szeregach Elikolepów, wspaniały dar królowej Teneków uradował ich niezmiernie. Mieli wprawdzie ogromną ochotę zakosztować mięsa ludzi białych, a przedewszystkiem murzyna, lecz taki zapas przepyszego tłuszczu wielorybiego nie był także do pogardzenia. Zyskaliby nawet z pewnością na zamianie, bo jeńcy nieszczególnie byli utuczeni, a w więzieniu schudli jeszcze więcej, kto tam wie, jakby po upieczeniu smakowali. Co do tłuszczu wieloryba, nie było najmniejszej wątpliwości, jest to przysmak, nie mający sobie równego w oczach Elikolepa i przysmak ten był tuż pod ręką, dość było zdjąć go z pleców Teneków i prosto do ust ponieść.

A jednak Elepari nie odpowiedział. Zamyślił się głęboko, widok ulubionego przysmaku nie olśnił go tak, jak innych, przyszło mu bowiem do głowy, że z tego poselstwa większe jeszcze korzyści wyciągnąć można. Nareszcie odezwał się w te słowa:

— Okaszlu jest wielką królową, a Elepari wodzem potężnym. Na to, coście powiedzieli, taką wam daję odpowiedź: Elepari wypuści na wolność jeńców białych, którzy są tu w jego wigwamie, ale pod następującymi warunkami: Okaszlu przysłać nam jeszcze drugie tyle tłuszczu wielorybiego, następnie Elepari zostanie mężem Okaszlu, ażeby Elikolepi i Tenekowie stanowili jeden naród.

Niepodobna opisać zachwyty i uwielbienia, które się odmalowało na bydlęcych twarzach Elikolepów, gdy usłyszeli te słowa swojego wodza. Teraz dopiero zrozumieli, co to za mądry człowiek był ten Elepari; oni gotowi byli wydać natychmiast jeńców za trzydzieści pości słoniny, a on dwa razy tyle jak nic utarguje! Lecz poseł królowej Teneków inaczej te rzeczy rozumiał, odrzekł więc z godnością:

— Nie do mnie należy postanawiać o małżeństwie Okaszlu, ani wspaniały jej dary podwajać. Donoszę więc o tém królowej, ona uczyni, co jej się podoba.

Mówiąc to, odwrócił się i odszedł poważnie wraz z całą gromadką towarzyszy. Stało się to nadzwyczaj szybko i Elepari po chwili dopiero zrozumiał, że takie nieroztropne zerwanie układów mogło go narazić na wielkie nieprzyjemności ze strony zawiedzionych poddanych. Nie tracąc jednak przytomności umysłu, zwrócił się do wojowników swoich i rzekł:

— Czy dostaniemy drugie tyle tłuszczu, czy nie, zawsze bezpieczniej zabrać to, co jest pod ręką. Nic łatwiejszego, jak dogonić tych ludzi, wszak prawda?

Pomysł ten, jakkolwiek przeciwny wszelkim prawom międzynarodowym, zachwycił jednak dzikich do najwyższego stopnia.

— Tak!... tak!... wybornie, zabierzmy słoninę!... — wołano zewsząd z zapałem.

Zamierzona wyprawa niezwłocznie wykonana została, kilkudziesięciu mężczyzn i tyleż kobiet rzuciło się w pogoń za poselstwem królowej Teneków, zaskoczono z nienacka bezbronną gromadkę, otoczono ją dokoła i przemocą zmuszono do poddania.

— Chcieliśmy wam oszczędzić trudu — mówił Elepari na pocieszenie — poco macie dźwigać dwa razy takie ciężary? Nie zmieniam jednak mego słowa, bardzo będę szczęśliwy, jeśli Okaszlu na warunki moje przystanie z dobrej woli.

Tenekowie odeszli ze wstydem, a Elikolepi powrócili tryumfalnie do obozu, niosąc skarby, niezbyt szlachetnie zdobyte, niezwłocznie też rozpoczęła się wspaniała uczta.

Łatwo sobie wyobrazić zmartwienie i oburzenie królowej Okaszlu, gdy posłowie powrócili i opowiedzieli, co ich spotkało. Upewniała Henryka, że nawet wśród dzikich ludzi nikczemność podobna rzadko bardzo się przytrafia. Tylko taki łotr, jak Elepari, mógł się na to odważyć. A co do propozycji małżeństwa, była to z jego strony bezczelność niepojęta, wiedział on doskonale, że nigdy jej ręki nie otrzyma. Skoro więc nie chciał układów pokojowych, odpowiadał na nie obelgą, należało to uważać za wypowiedzenie wojny i nie nie pozostawało innego, tylko gotować się niezwłocznie do walki.

— Ach! żeby tak ze trzy, cztery strzelby, poradzilibyśmy sobie łatwo z tą hałastrą — zawołał Henryk Chester.

— Jeżeli o to tylko idzie — ozwała się Okaszlu — to ja mam strzelby. Jest tu skrzynia, którą przywiozłam z Europy; dotychczas jej nie otwierałam jeszcze...

— A czy znajdzie się i amunicja?

— Zapewne. Nigdy mi na myśl nie przyszło zajrzeć do tej skrzyni. Ale zobaczymy...

W mgnieniu oka odszukano szacowną skrzynię, która złożona była wraz z kilku innymi pakami, także szczelnie zamkniętymi, w osobnym składzie, przytykającym do apartamentu królowej. Znalazło się w skrzyni sześć strzelb skałkowych; broń tego rodzaju oddawna już wprawdzie wyszła z użycia w Europie, lecz tu nie potrzeba było lepszej. Oprócz tego wydobyto z tego skarbcza sześć dużych pistoletów, tyleż pałaszy, wreszcie dwieście nabojęw, dziesięć worków kul i dziesięć paczek prochu, a wszystko to wybornie było zachowane. Odkrycie kopalni złota nie mogłoby tak uradować Henryka, jak widok tej zbrojowni.

— Teraz zwycięstwo jest w naszych rękach! — wołał z zapałem, wydając wszystkie te bogactwa jedne po drugich ze skrzyni — w rękach swych mamy życie i wybawienie naszych przyjaciół!... A czy i w tych innych pakach jest także broń? — dodał, wskazując zakurzone skrzynie, stojące w tym samym składzie i nietknięte od czasu, gdy je pozamykano w Anglii, wyprawiając w drogę młodą Okaszlu.

— Nie sędzę — odrzekła królowa — zdaje mi się, że tam są rozmaite narzędzia, niezbyt potrzebne moim poddanym. Możemy zobaczyć w każdym razie...

Otworzono drugą skrzynię, a widok jej zawartości w zachwycenie wprawił Seagriffa. Były tam wszelkiego rodzaju narzędzia i przybory ciesielskie i stolarskie: piły, heble, obcegi, świdry, młotki, śruby i gwoździe rozmaitych rozmiarów i kształtów.

Seagriff padł na kolana przy otwartej skrzyni. Ze czcią prawdziwą wyjmował i oglądał wszystkie te narzędzia, z któremi się znał tak dobrze i których brak najdotkliwiej mu się czuć dawał, bo bez nich był tak, jakby bez rąk.

— O, teraz, coby się nie stało, możemy być pewni przynajmniej, że się ztąd wydostaniemy!... — mówił stary cieśla, ochłonawszy ze wzruszenia o tyle, iż mógł przyjść do słowa — mając te narzędzia w ręku, jak nic zbuduję pyszny statek i spuszczę go na wodę...



— Bardzo to dobrze — odrzekł Henryk — ale wpróż musimy oswobodzić kapitana i towarzyszy jego, bez nich przecież nie odpłyniemy.

— No, rozumie się, a i o pannie Madzi nie zapomnimy — rzekł Seagriff, spoglądając z ukosa na młodzieńca, który nie wiedzieć dla czego na te słowa zarumienił się po same uszy i zagryzł usta.

— O nikim nie zapomnimy — odezwał się wreszcie po chwili milczenia — a tém bardziej o pannie Madzi. Jest to — dodał, zwracając się do królowej — siostra Neda Ganeya, tego młodego marynarza, który pokonał wraz ze mną „szczury portowe” owego dnia, gdyśmy się po raz pierwszy spotkali w Portsmouth.

Rzecz dziwna! Teraz mała królowa zarumieniła się widocznie, pomimo ciemnej cery. Usta jej drżały lekko, gdy przemówiła:

— A czy ten młody marynarz, p. Ned Ganey, jest także jeńcem? — spytała niespokojnie.

— Na nieszczęście nie wiemy, co się z nim dzieje, bo znikł nam z oczu ze swoją łodzią po rozbiciu okrętu — i Henryk opowiedział wszystko, o czém czytelnicy nasi już wiedzą.

Okaszlu niezmiernie była wzruszona, słuchając tego opowiadania, oczy jej napełniły się łzami. Niedługo jednak poddawała się smutnym wrażeniom, z wielką energią zaczęła wydawać rozkazy i nagiąć na poddanych swoich, aby jaknajśpieszniej czynili przygotowania do wojennej wyprawy. Ogromny ruch powstał w całym obozowisku, wojownicy opatrywali broń, siekiery, włócznie i proce, spuszczali czółna na wodę, wrzało wszędzie, jak w ulu. Mała królowa chwilami patrzyła na te przygotowania z gorączkowym zajęciem, to znów wpadała w smutek ponury.

— To jednak rzecz dziwna — rzekł raz Henryk Chester — że owe skrzynie, a zwłaszcza ta, która broń w sobie zawierała, pozostała dotąd nierozpakowana. Wszak te strzelby, te pistolety, dałyby odrazu Tenekom ogromną przewagę nad wszystkimi innemi plemionami.

— Ja dobrze nie wiem, jak się to stało — odrzekła Okaszlu — trochę w tém było niedbalstwa z mojej strony, a trochę i dyplomacyi. Sama nie umiałabym użyć tej broni, nie chciałabym zaś powierzać jej żadnemu z moich wodzów, bo mógłby tego nadużyć, przywłaszczyć sobie władzę i panowanie z moją szkodą.

— A nas to się wasza królewska mość wcale nie obawiasz? — zapytał Henryk, śmiejąc się — a nuż my z Seagriffem, a może i z Nedem, jeśli go odszukamy, zechcemy zdobyć orężem posiadłości Teneków i ogłosimy którego z naszych, choćby na przykład Neda, królem Ziemi Ognistej?...

— O! cóżby to było za szczęście!... — wykrzyknęła Okaszlu bez namysłu — a spostrzegłszy się, że ten wykrzyknik mógł dać wiele do myślenia, mówiła dalej:

— Tak, w rzeczy samej, byłoby to prawdziwe szczęście dla tej ziemi i dla jej mieszkańców, gdyby rozumny i przedsiębiorczy Europejczyk objął tu władzę i zaprowadził stopniowo obyczaje świata cywilizowanego. Ręka kobiety jest na to za słaba, zrozumiałam to oddawna i nie próbowałam nawet wywierać podobnego wpływu na moich współbraci, bo wiem, że to byłoby nadaremnie. Mężczyzna mógłby dużo, bardzo dużo zrobić!...

— Tak, tak, niezawodnie, byłoby to szczytne i piękne zadanie dla cywilizowanego człowieka — odezwał się Sea-

griff, gładząc brodę z taką miną, jakgdyby młoda królowa jego samego chciała mianować wodzem i królem Teneków — ja jednak co innego mam na myśli. Niechym nie pragnął, daję słowo, tylko zbudować ładny trójmasztowiec, napełnić go po brzegi skórami fok i popłynąć do nowego Yorku, a spieniężywszy to wszystko za dobrą cenę, żyć sobie spokojnie z uciulanego kapitaliku w jakimś miłym ustroniu ...

(d. c. n.)

## Proza i poezya (Fujarka).

To były piękne lata dziecięce, kiedym od ziemi odnikł za ledwie; ku nim często ulata myśl moja, łzami cichemi, snami je złocąc.

\* \* \*

Na ręku matki, kiedym to igrał, było konikiem kolano ojca! taka woń i tyle dźwięku w sercu! oj, jeszcze po nikim nie płakało!

\* \* \*

Świat był wtedy taki mały dla mnie, ludzie jak ich cukierniki tak dobrzy; milionem oczek mrugały gwiazdki; skrzydła mieć chciałem, iskiernki te zdjąć.

\* \* \*

Ułożyć z tej prozy trzy strofki czterowerszowe.

## Łamigłówka zgłoskowa.

(Induktor Rhumkorffa).

Z następujących zgłosek: dy—fant—in—ka—lej—lig—ser — ułożyć wyrazy: 1. Zwierzę dzikie. 2. Tytuł księcia krwi królewskiej. 3. Wyrób z mleka. 4. Sędzia turecki. 5. Ciecz używana do oświetlania. Pierwsze i ostatnie litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwy dwóch miast, nawiedzonych niedawno klęską pożaru.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

### Szarady:

Kar — liń — ski.

### Łamigłówki głoskowe:

Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.

**TREŚĆ:** W Ameryce zwrotnikowej (z drzew.) — Co wietrzyk opowiadał gruszy w noc majową, pogadanka ogrodnicza p. Zofii Grabkowską. — Hymn do Ś-go Kazimierza wierszyk p. Władysława Syrokomle (z drzew.) — Prawdziwe bogactwo powieść przez autorkę Reginki (dokończenie). — Sławni w piśmiennictwie, p. Z. Morawską. — Ziemia ognista, przygody podróżników na morzu i lądzie przez Mayne Reid'a (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Lunia i Zofia (z drzew.) — Jaskółeczka wierszyk p. Helenę Bojarską. — W Maju p. Zofię Bokowiecką. — Niezgodni królewscy bajka prawdą przeplatana. — Łamigłówka, rozwiązanie. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Przygody młodego chłopca w szkołach.



## LUNIA I ŻOLKA.

Lunia miała psinkę Żółkę, którą niezmiernie lubiła. Nikt tego dzieciom nie gani, gdy są przywiązane do pocciwych zwierzątek, we wszystkiem jednak miarę zachować należy. Mama często powtarzała Luni, że z psinką można się bawić, wziąć ją czasem na kolana, pogłaskać, ale całować się z nią ciągle, to już rzecz zupełnie zbyteczna. Piesek może być czasem chory, zresztą cóż to ładnego pozwalać się obliżywać i ślinić takiemu zwierzątku, choćby i najpocciwyszemu. Lunia jednak zwykle zapominała o przestrojach mamy, największą miała przyjemność w tych całusach i pieszczotach swojej ulubionej Żółki.



Lunia i Żółka.

Raz przyjechała z daleka ciocia, której Lunia nigdy jeszcze nie widziała. Wielka była radość w całym domu, a nasza Lunia odrazu pokochała tę ciocię, dobrą, miłą i wesołą. Wyobraźciez sobie, jak się zdziwiła i zmartwiła, gdy raz chciała rzucić się na szyję cioci i ucałować ją serdecznie, a ta cofnęła się, jakby z obrzydzeniem i nie chciała się pocałować.

— Ach, daruj mi, moja droga Luniu — rzekła ciocia — jakbym ciebie tak chętnie uściskała i popieściła, tylko... cóżem ja temu winna? zobaczyłam dziś, jak całowałaś się ze swoją Żółką, a psina pośliniła ci całą buzię. Ja lubię pieski, nigdy ich jednak nie całuję i przyznam ci się, że się tego okropnie brzydzę...

Mama słyszała tę rozmowę i bardzo była rada, a Lunia zawstydzona się strasznie w pierwszej chwili, o mało się nie rozpłakała, że jednak była dobrą i rozsądną dziewczynką, więc poszła do drugiego pokoju, umyła buzię starannie, potem powróciła do cioci i rzekła:

— Już jestem umyta, ciociu kochana, niech mię tylko ciocia pocałuje, a przyrzekam, że nigdy nie pozwolę się ślinić i lizać Żółce.

— A, to co innego — rzekła ciocia — teraz, jak pocałuję moję siostrzeniczkę, nie będę w obawie, czy mi się czasem ślina Żółki do ust nie dostała.

## JASKÓŁECZKA.

Przyleciała jaskółeczka  
Z pożywieniem do gniazdeczka,  
Tam raduje się gromadka,  
Że wróciła dobra matka;  
Ona również ucieszona,  
Tuli dziatki swe do łona,  
W dzióbki pokarm sama wkłada,  
Własnem ciepłem ogrzać rada,  
Jak w gniazdeczku dobrze, miło,  
Nowe życie powróciło,  
Błysnął szczęścia promień złoty,  
Znikły troski i kłopoty.  
Pamiętajcie, o dziateczki!  
Że i ptaszkom bez mateczki  
Żleby było; bo na świecie  
Każda matka kocha dziecię!

*Helena Bojarska.*

## W MAJU.

Wybiła siódma godzina na wieży katedralnego kościoła w Sandomierzu. Ze starych domów, z których niejednen jeszcze Kazimierza Wielkiego pamięta, wysuwać się zaczęli pobożni mieszkańcy, a wszyscy szli za miasto, przez tak zwaną opatowską bramę, która nawet od praskiej sławnej „prochowej” o wiele jest piękniejsza i dążyli do kościoła panien Benedyktynek, gdzie pierwsze majowe miały się odprawiać nieszpory.

Pomiędzy różnobarwnym tłumem, schodzącym ze wzgórzy otaczających, bo Sandomierz, tak jak Rzym, a jest nim trochę dla nas pamiątkami, na kilku wznosi się pagórkach, zdała już zabielały kapelusze Sióstr Miłosierdzia, które sierotki swe na nabożeństwo prowadziły.

Czy widzieliście kiedy, moi drodzy czytelnicy, to mnóstwo dzieci jednakowo ubranych i tulących się do zakonnic, które im zastępują wszystko, rodzinę, pieszczotę matki, domowe ognisko? Jeżeliście nie widzieli, to żałuję was bardzo, bo wśród moich dziecinnych wspomnień niema przyjemniejszych, jak te, w których się widzę otoczoną sierotkami, rozdającą im łakocie i owoce przyniesione z ogrodu mego ojca. Jakie te dzieciny szczęśliwe były! jak mało potrzeba, aby im wyprawić prawdziwą ucztę, pomyślcie o tém i niech każde chociaż



raz w życiu obdarzy ochronkę, a pewnie wdzięczne mi będzie za daną radę.

W chwili gdy szereg małych główek skręcał już ku kościołowi, z przeciwniej strony, od cmentarza wiejskiego, nadeszła kobieta czarno, skromnie, ale schludnie ubrana, a znać było, że niedawno ciężkie przeżyła nieszczęście, bo szła pochylona, z wzrokiem w ziemię utkwionym, jakby w niej pogrzebała wszystko, co drogim zwała na ziemi. I tak też było w istocie, bo oddawna wdową będąc, przed miesiącem straciła jedyne dziecko, a Maj, całem bogactwem wiosny zieleniejący, jeszcze smutniejszą ją czynił.

Kwiaty kwitnące na cmentarzu nie cieszą serc zbyt zboliałych tych, którzy pomimo rezygnacyi chrześcijańskiej, nie mogą się zgodzić z myślą, że wszystko tak prędko odżyło, a ukochane istoty nie powstaną z grobu.

Szła więc biedna pani S. i miała także wejść do kościoła, gdy na progu oczy jej spotkały się z oczami jednej z sierotek. Spojrzało biedne dziecko na panią w żalobie i może pomyślało o dawno zmarłej matce, bo lzy zaświeciły na okrągłej twarzyczce, a mimowolnem uczuciem wiedzioną, pocałowała maleńką sierotkę mijającą ją powoli panią. Któż opisać zdoła, jakie wrażenie zbudziło się w sercu nieszczęśliwej wdowy? dość, że poczuła się matką tego opuszczonego biedactwa, poczuła, że nie w ziemię patrzeć powinniśmy, płacząc ukochanych, ale czynami miłosierdzia jednoczyć się z ich duszami w niebie, i zaraz po nabożeństwie postarała się o prawo zabrania maleńkiej do siebie.

Od tego czasu wiele lat upłynęło, sierotka Marynia jest już dorosłą Maryą i staraniami swemi dawno wynagrodziła przybraną matkę opieką jej i miłością, ale nie zapomni ona nigdy tego, co innym winna, i stara się być miłosierną, przez pamięć na doznane dobrodziejstwo. Za jedno spojrzenie i pocałunek współczucia pełen nagrodił ją Bóg, dając opiekunkę i matkę,

*Zofia Bukowiecka.*

## NIEZGODNI KRÓLEWICZE.

BAJKA PRAWDĄ PRZEPLATANA.

(Dalszy ciąg).

Nie rozbierał się nawet, bo w sukniach było mu choć trochę wygodniej, płaszcz zwinął i podłożył pod głowę, a że nie był wcale wybredny, więc wkrótce usnął smacznie. Śniło mu się, że jest na wojnie i spoczywa na obozowem łóżku. Ale raniutko, przebudziwszy się, przypomniał sobie, że się znajduje w rezydencji królewicza Kryszałka i że ma jeszcze odwiedzić dwóch jego braci, Zielonkę i Pióropuszkę. Zerwał się więc mistrz co żywo i nie czekając, aż się dwór cały przebudzi, podążył do stajen, odszukał swojego muła, sam go osiodłał, tłomaczek podróżny uwiązał i cichuteńko wyjechał z pałacowego podwórza małą, boczną furteczką.

Nikt nawet nie spostrzegł wyjazdu Abrakadabrusa, a gdy królewicz Kryszałek się przebudził i zaczął pytać

o gościa, dworzanie donieśli mu ze wstydem, że znikł wraz z mułem i nigdzie go odszukać nie można. Domyślił się królewicz, że mistrzowi pilno było dostać się do jego braci i spełnić polecenie króla Dobromira, to jest zgodę pomiędzy nimi przywrócić. Nadzieja ta napełniła go radością, a dworzanie wydziwić się nie mogli, że pan ich, zwykle ponury i smutny od powrotu z rezydencji króla Dobromira, teraz tak się rozweselił i w takim był doskonałym humorze.

Abrakadabrus tymczasem jechał wprost do pałacu królewicza Zielonki. Przebył wkrótce dziką pustynią, otaczającą wspaniałą rezydencją Kryszałka i ujrzał z daleka bukiet drzew zielonych, a z pośród nich wychylał się dach pięknego pałacyku, który wyglądał na letnie, wiejskie mieszkanie. Cały ten pałacyk pobudowany był z drzewa, z desek ogładzonych i poprzetykanych mchem, bez wapna, bez gliny, bo królewicz Zielonko usiłował, o ile tylko mógł, obywać się samemi roślinnymi materyałami. Pojmujecie, ile mu to musiało przyczyniać kłopotu i jak wielu rzeczy bardzo pożytecznych brakowało w jego rezydencji.

Strażnik na wieży zatrąbił w fleglik drewniany, nie był to dźwięk tak donośny, jak owych trąb metalowych na dworze królewicza Kryszałka. Posłyszano jednak hałas, z pałacu wybiegło kilku paziów i znów powtórzyła się taż sama scena, którąśmy już opisali: dworzanie zdziwili się mocno, że jakiś niepozorny wędrowiec na mule chce bez ceremonii wjeżdżać na dziedziniec pałacowy. Chciano więc Abrakadabrusa zatrzymać, ale jak tylko wymienił swoje imię, jeden z dworzan, który towarzyszył królewiczowi na dwór króla Dobromira, skinął natychmiast na straż, aby otwierała bramy, a sam pobiegł pędem do pałacu dać znać o przybyciu niespodziewanego gościa.

Królewicz Zielonko wyszedł aż na ganek na powitanie mistrza, kazał muzyce nadwornej grać marsz powitalny, a chociaż cała orkiestra składała się z samych fletów, bo nawet i skrzypce drewniane nie mogą być urządzone bez włosieni, koniecznie potrzebnej do smyczka, jednak gra była bardzo piękna.

Abrakadabrus z ciekawością zaczął się rozglądać po salonach królewicza Zielonki. Umeblowanie nie wyglądało tak bogato, jak u Kryszałka, ale daleko było wygodniejsze. Kanapy, fotele z rozmaitego gatunku drzewa, ozdobnie rzeźbione, wyściełane były mięciutko trawą morską, obłożone watowanemi poduszkami i pokryte ładną materją z juty. Wszędzie stało mnóstwo doniczek drewnianych z najpiękniejszymi roślinami; różnobarwne kwiaty wonią napełniały powietrze, ściany prawie całkowicie pokryte były rozmaitemi wijącemi się krzewami.

— O, jakże tu pięknie u ciebie, najjaśniejszy królewicu, jakby w raju! — wykrzyknął Abrakadabrus, zasiadając na sofie przy oknie.

Zielonko uśmiechnął się jakoś smutno i nic na to nie odpowiedział, tylko zaczął rozpytywać mistrza o zdrowie króla Dobromira, królowej Miłostawy i pięknych królewien. Wkrótce dano znać, że obiad na stole i przeszli do sali jadalnej.

— Muszę cię naprzód przeprosić, kochany mistrzu —



**Zadania konikowego:**

Gdzie kucharek sześć, tam niema co jeść.

**Skrzynka do listów.**

**Konwalia leśna** słusznie bardzo powiada, że pierwszemu niepowodzeniem nie należy się zniechęcać, lecz nieotrzymanie nagrody niepowodzeniem nazywać się nie powinno, jeżeli się otrzyma wzmiankę zaszczytną, bo i bardzo dobre odpowiedzi nie wszystkie mogą być nagrodzone. Przesłane 2 rs. oddamy na kolonie letnie, gdyż jest to w tej chwili najpilniejsza potrzeba ubogiej uczącej się młodzieży. Co do Perełki, Konwalia odgadła trafnie. „Prawdziwem Bogactwem“ rzeczywiście wszystkie czytelniczki tak się zachwycają, jak i kochana Konwalia, wielka to przyjemność, i dla nas, i dla szanownej autorki tej powieści.

**Gospośia** niech odczyta ostatnie sprawozdanie Kozia z zadania konkursowego, a przekona się, ile dobrego można dokonać z drobnych bardzo datków, 15 kop. to nie jest znów dar tak mały. Gdyby każdy z kochanych naszych czytelników choć trzecią część tego chciał nadesłać na kolonie letnie, ileżby to się zebrało!

**Dziuni** dziękujemy bardzo za 15 kop. dla ubogich dzieci.

**Lipa z Małej Rusi** niech nie zważa na to, że niezbyt poprawnie pisze i korespondencji dlatego nie przerywa, będzie to bowiem dla niej pożyteczną wprawą. My umiemy wejść w powody, dla których kochana Lipa z konieczności nauk języka ojczystego zaniedbać musiała, lecz przy dobrych chęciach da się to później naprawić.

**Kuropatwie z nad Ikopetiu** donosimy, że siostrzyczka jej Kuropatwa z nad Narwi ma tyleż latek, co i ona, nazywa się Olimpią, mieszka w Warszawie. Obie te Kuropatwy muszą mieć jakieś wspólne przymioty, skoro jednakowe sobie wybrały pseudonymy.

**Ptaszynę** upewniamy, że każda korespondentka, choćby się tylko parę razy odezwała, znaną jest i kochaną w redakcji, a cóż dopiero takie miłe ptaszyny, które i słówko serdeczne i hojny dattek dla ubogich przynoszą w dani. Nie wiemy, czy wszyscy czytelnicy tak samo myślą o „Wieczorach“ ale gorąco tego pragniemy.

**Czczotka i Skabioza z Płocka** nadesłały trafne rozwiązanie łamigłówek.

**Kalina** się nie opóźniła z przesyłką, a znudzić nas częstemi liścikami chyba nikt nie potrafi, bo odczytywanie tej pożądaney i ulubioney korespondencji jest właśnie odpoczynkiem po mozolnej nieraz pracy, rozrywką i pociechą największą dla piszącej te słowa.

**Pszczółka podolska** śliczny pseudonym sobie wybrała, powinna jednak pamiętać, że nazwa ta nakłada na nią pewne obowiązki; jeżeli więc nasza Pszczółka kochana niedość jest pracowita, jeżeli czasem do nauki napędzać ją trzeba, a robotki nie lubi wykonać, tylko coraz nową zaczyna, niechże się jaknajprędzej z tego poprawić stara, żeby mogła z czystym sumieniem podpisywać się Pszczółką. Łamigłówkę wydrukujemy.

**Stefciowi z Bałty** serdecznego przesyłamy całuska za pieniążki, ścieleniem łóżeczka zarobione i ofiarowane dla biednych dzieci, żeby mogły odetchnąć świeżym powietrzem.

**Ada** obie swoje powiastki ujrzy wkrótce wydrukowane. Zamiłowania w pisaniu, zwłaszcza gdy rozrywkę sprawia wśród cierpień, ganić nie możemy, niech tylko kochana Ada zawsze w tym miarę zachowuje, a najlepiej iść za wskazówkami dobrej Mamy. Tłumaczeń dlatego przyjmować nie możemy, że mamy zwyczaj wybierać do tego tylko najlepsze utwory z obcych piśmiennictw.

**Niezapominajce z nad Horynia** dziękujemy za 50 kop. dla ubogiego ucznia, dar na kolonie letnie zapisany osobno.

**Oleńce ze Żmujdzi.** Wszystkie żądane książki i atlasy wysłane, pozostało 1 rs. 15 kop. Szczegółowy rachunek dołączono do przesyłki. Globus polski z południkiem kosztuje od 5 rs. do 12-tu. Za opakowanie i przesyłkę pocztą, stosownie do wielkości i ceny, dopłaca się od 2-5 rs. Zadania konikowe układają

rzekł Zielonko troszkę zawstydzony — obawiam się, ażebyś nie był głodny, bo... lubię nadzwyczajnie wszelkie roślinne pokarmy, uważam je za najzdrowsze, zwykle też, i ja, i moi dworzanie, nie jadamy wcale mięsa. Gdybym był wiedział, że tak miłego i pożądanego gościa powitam w moim pałacu, znalazłaby się jakaś zwierzyna.

— Gwałtownym sposobem zdobyta od królewicza Pióropuszką — szepnęła Abrakadabrus z uśmiechem, lecz Zielonko dosłyszał i poczerwieniał cały, jak burak.

— Ach, mistrzu — mówił — widzę, że wiesz o wszystkim, przed byстрым twoim wzrokiem i rozumem nic się nie utai. Powiem więc całą prawdę: staram się o ile tylko można poprzestawać na tem, czego mi dostarczają moje rośliny, a ponieważ bez mięsa żyć można, przyzwyczailiśmy się wszyscy do tego zdrowego, choć skromnego pokarmu. Zawsze jednakże niepodobna się obejść bez niektórych dodatków mineralnych, musimy więc zabierać bez pozwolenia Kryształka sól z jego składów i wodę czerpać z jego studzien. Już to o wodę dotąd się z nim sprzecamy, i ja, i Pióropuszek, który na ten raz jest ze mną jednakowego zdania. Bo powiedz sam, mistrzu, czy wodę można zaliczyć do królestwa minerałów? Minerały to są takie rzeczy twarde, jak kamienie, metale, woda do żadnego minerału nie jest podobna.

— Chyba tu na wyspie Atlancie nigdy nie widziano lodu — rzekł Abrakadabrus z uśmiechem.

— Ależ owszem — mówił Zielonko — woda tu zamrzaja zimą... — i zająknął się, bo już i sam zrozumiał, co mistrz miał na myśli.

— A widzisz, miłościwy królewiczu; czyż można powiedzieć, że woda w postaci lodu nie jest podobna do minerałów? Z drugiej strony, gdy ołów na ogniu się roztopi, wygląda jakby jakaś woda.

— Więc według twego zdania, kochany mistrzu — rzekł Zielonko z westchnieniem — Kryształek słusznie przywłaszcza sobie wszystką wodę na wyspie Atlancie? Toż dopiero kłopot, bo moje rośliny w żaden sposób bez wody obejść się nie mogą i on też ciągle sztydzi sobie ze mnie z tego powodu. Przykro mi to bardzo, mistrzu, że ty trzymasz z Kryształkiem i słuszność mu przyznajesz...

— Ależ, miłościwy królewiczu — przerwał Abrakadabrus — mylisz się bardzo co do słów moich, bo ja ci sprzyjam zupełnie tak samo, jak i obu dostojnym twoim braciom. Zaraz się wytłumaczę przed tobą, a z pewnością mnie zrozumiesz.

(d. c. n.)

**Łamigłówka liczbowa.**

(Zuzulka z nad Tykicza).

Z 13 liter imię i nazwisko poety, już nieżyjącego. przedstawiając litery otrzymamy: 1, 2, 3, RzeKa, wpadająca do morza Czarnego — 2, 4, 8, Rodzaj poematu — 9, 8, 11, Zbiór drzew — 4, 2, 6, RzeKa w Rosyi — 13, 6, 4, RzeKa w Azji — 7, 5, 6, Poeta polski — 6, 13, 9, RzeKa w Afryce — 1, 2, 6, 5, Żona jednego z Jagiellonów — 12, 2, 6, 13, 10, Zwierzęta domowe — 2, 11, 5, Owad.



się według prawideł gry w szachy, których niepodobna w kilku słowach wyłożyć. Najlepiej zaznaczyć sobie ołówkiem na jednym z naszych zadań, jak zgłoski następują po sobie, a wszystko się wyjaśni.

**Królowa** bardzo porządnie pisze na swój wiek.

**Nemo** nadesłał łamigłówkę bez rozwiązania.

**Żabkę z Gudulina** prosimy, aby inną łamigłówkę wymyśliła, bo ta zajęłaby za dużo miejsca.

**Topolce z nad Wisły** odesłano żądany Nr. 17. Czy to nie krótsza, prostsza rzecz, zamiast przez pocztę miejską się o to upominać, posłać kogo do redakcji i odebrać? Łamigłówkę może wydrukujemy, ale pewnie nieprędko, bo mnóstwo jest wcześniej nadesłanych, a ta załatwa jest do odgadnięcia.

**Jowiszowi** już raz odpowiedzieliśmy, że nie a nie nie wiemy o jego zagadkach dawniejszych. Nadesłane wydrukujemy, o ile będą dobre i o ile miejsce się znajdzie...

**Liść herbaciany** (z Warszawy) musi zmienić pseudonym, gdyż ten należy do dawniejszego korespondenta.

**Brzózka z nad Śluczy** musi mieć dobre serduszek, skoro tak zrozumiała odrazu, jak wielkiem dobrodziejstwem dla biednych dzieci jest świeże powietrze. Pewnie też uczuje zadowolenie wewnętrzne, zwiedzając piękne górskie okolice, gdy sobie przypomni, że przed wyjazdem spełniła uczynek miłosierny.

**Stokrotka z nad Granicy** trafnie rozwiązała łamigłówkę.

**Iastrzębiec** nadesłał wierszyk, który jednak drukowany być nie może, gdyż pod względem formy dużo pozostawia do życzenia.

**Perełka** żąda szczerzego zdania, co do swego pisma. Chociaż pod względem kaligraficznym mogłoby być piękniejsze, do najgorszych znów zaliczyć się nie może, bo jest porządne i wyraźne. Odbieramy bardzo dużo liścików gorzej pisanych, powinno to Perełkę uspokoić. Książka wysłana, pozostałe 20 kóp. oddano biednym dzieciom.

**Morela** zaadresowała liścik swój do autorki, nie należący wcale do składu redakcji naszej. Zkąd też myśl podobna przyszła do główki tej Morelki? Początek powieści wyczerpany, lecz na gwiazdkę „Reginka i Prawdziwe bogactwo” ukażą się w osobnej odbitce. Datek zapisany.

**Sokół z pod Wawelu** serdecznie jest w naszej redakcji kochany i na równi z innymi pisać może „droga lub kochana pani” oba te tytuły są bardzo pożądane. Łamigłówka, niestety! jest bez rozwiązania.

**Kuropatwa z nad Narwi** trafnie odgadła łamigłówkę.

Kochana Kropelko Rosy! Jesteś wszystkich kwiatów przyjaciółką, a ponieważ obrałam sobie pseudonym Konwalii, chcę więc choć listownie zabrać z tobą znajomość. Wiem już, jak ci na imię, proszę więc, donieś, czy mieszkasz na wsi. Ja nazywam się imieniem pierwszej żony Jagiełły i chciałabym nietylko z imienia być do niej podobną. Mieszkam na wsi, mam lat 12. Przesyłam ci serdeczny uścisk i proszę o prędką odpowiedź,  
Konwalia leśna.

Mila Stokrotko różowa! Pseudonym twój bardzo mi się podobał, chciałabym cię poznać, ale ponieważ to życzenie na zawsze pewnie życzeniem zostanie, proszę więc tylko, abyś pisywała do mnie przez Wieczory. Twoja Konwalia leśna.

Kochana Dziurko! Jestem bardzo ciekawa, dlaczego obrałaś sobie taki pseudonym. Mam dla ciebie wielką sympatię, ułożyłam trzy zagadki dla ciebie, ale nie wiem, czy będą wydrukowane, ściskam cię, Dziunia. (Dziurka nazywa się Różia, mam lat 13  
przyp. red.)

Kochany Okularniku! dziękuję za zadanie konikowe, obawiam się czy odgadnę. Halutka S.

**Firietce białej i Anielce** przesyła serdeczne uściśnienie Halutka S.

**Świteziance, Jutrzence i Wielkopolance** serdeczne pozdrowienia przesyła Kalina.

Kochana Stokrotko polna biała! Widziałam, jak pszczołka, ucieszona widokiem rozkwitłej Stokrotki, spoczęła na niej i napałała się jej sokiem. To zdarzenie zachęciło mnie do zapoznania się z tobą i może i zaprzyjaźnienia się z czasem. Donieś mi o sobie; ja nazywam się Niunia, mam lat 9 mieszkam pod Barem, Pszczołka Podolska. (Donosimy Pszczołce, że Stokrotka polna nazywa się Nina, ma lat 12 mieszka w tej samej gubernii, co i ona  
(przyp. red.)

**Stokrotce z nad Granicy** dziękuję za pozdrowienie i przesyła wzajemne Oleńka ze Żmujdzi.

**Droga Wisienko!** Ponieważ teraz czas jagódek się zbliża, mam cię ciągle na myśli, dlatego przesyłam ci serdecznego całuska, Gwiazdka z Czerwonej Rusi.

Kochana Trzcinco! Chciałabym cię poznać choć listownie; mam lat 8 nazywam się Ola, mieszkam w Warszawie i mam siostrę starszą od siebie, ale brata nie mam. Napisz mi o sobie, twoja przyjaciółka Królowa.

Kochana Wiochno! Twój pseudonym bardzo mi się podobał. Podał ci pewnie myśl do niego śliczny wiersz Lenartowicza, umiem go cały na pamięć. Odpisz mi, proszę cię, Twoja Topolka z nad Wisły.

**Induktorowi Rhumkorffa** za ukłon ukłonem płacę, a milejby mi było uczynić to osobiście, co nie przyszłoby z trudnością, jeżeli w jednym mieście mieszkamy. Sokół z pod Wawelu. (Induktor powinienby użyć magneto-elektrycznych prądów dla odszukania Sokola na plantach  
przyp. red.)

**Panu Niemojowskiemu** mnóstwo korespondentek naszych, których wyliczyć niepodobna, przesyła podziękowanie za rady, podane w ładnym wierszyku.

**Pani L. L.** Wszystkie polecenia spełnione.

**Na kolonie letnie złożyli:** Konwalia leśna rs. 2. Gospośia kop. 15. Lipa z Małej Rusi rs. 1. Kuropatwa z nad Ikopetiu rs. 2. Ptaszyna rs. 2. Pani L. L. rs. 1, kop. 42. Irenka Ł. rs. 14. Niezapominajka z nad Horynia kop. 50. Brzózka z nad Śluczy rs. 1. Morela rs. 1. Stefcio z Bałty kop. 23.

**Do wszystkich** Najusilniej prosimy korespondentów naszych, aby wszelkie pakiety pieniężne, listy rekomendowane i zwyczajne, adresowali jak następuje: *Do redakcji Wieczorów Rodzinnych Mazowiecka Nr. 10*, nie dodając nazwisk, ani redaktorki, ani kierowniczkę Pisma, przyczynia to bowiem często dużo kłopotu, ponieważ te osoby nie mogą osobiście odbierać z poczty przesyłek i listów.

## OGŁOSZENIE.

W redakcji „Wiecz. Rodz” powziąć można wiadomość o nauczycielce Francuzce, zalecającej się kilkoletnim pobylem w domach znanych.

## Numer 10-ty.

### PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,

CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA :

Na Dobie, przez Floryana Żagowskiego. Kilka słów do nauczania początków Gramatyki języka polskiego przez Henryka Wernica. Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych, nad dzieckiem, od urodzenia do 20 roku życia, przez J. Wł. Dawida. (Ciąg dalszy). Korespondencya z Litwy. Krytyka i biblijografia: Wieczory rodzinne i Przyjaciel dzieci. Od 1 Stycznia do 1 Kwietnia 1886. Oceniała Zofija Urbanowska. Kronika. Odpowiedź E. S. Świążawskiego p. E. Bogusławskiemu na jego recenzję „Rozmów o dawnych dziejach”. (Dokończenie).